

PINE COTTAGE, GODZINA 1.00 W NOCY

Las miał kły i pazury.

Skąły, ciernie i zarośla szarpały ciało Quincy, gdy ta biegła z krzykiem między drzewami. Nie zatrzymała się jednak: ani wtedy, gdy ostre kamienie raniły podeszwy jej bosych stóp, ani gdy jakaś witka cięła ją przez twarz niczym bat, aż policzek spłynął krwią.

Zatrzymanie się nie wchodziło w grę. Zatrzymać się znaczyło umrzeć. Biegła więc dalej, chociaż w którymś momencie pęd jeżyn owinął się wokół jej kostki, raniąc kolcami skórę. Naprężył się i pękł, a rozpędzona Quincy zdołała oswobodzić nogę. Jeżeli nawet ją zabolalo, to tego nie odczuła. Jej ciało nie było w stanie pomieścić w sobie więcej bólu.

Instynkt nakazywał jej biec – podświadome przekonanie, żeby gnać przed siebie bez względu na wszystko. Zdążyła zapomnieć, przed czym ucieka. Wspomnienia wydarzeń sprzed pięciu, dziesięciu i piętnastu minut wyparowały. Była pewna, że gdyby jej życie zależało od tego, czy sobie przypomni, co skłoniło ją do biegu przez las, od razu umarłaby tam na mchu.

Biegła więc. Krzyczała. Starła się nie myśleć o umieraniu.

W pewnym oddaleniu majaczyła biała poświata, ledwie widoczna przez gęstwinę drzew.

Światła reflektorów samochodowych.

Czyżby była już blisko drogi? Quincy miała taką nadzieję. Wraz z pamięcią straciła też wszelkie poczucie orientacji w terenie.

Biegła coraz szybciej. Krzyczała coraz głośniej. Gnała w stronę światła.

Znowu jakaś gałąź trafiła ją w twarz. Większa niż poprzednio, grubości kuchennego wałka. Impet uderzenia ogłuszył ją i na moment oślepił. Głowa zaczęła pulsować z bólu, wzrok się zaćmił, przed oczami zapłonęły błękitne iskierki. Kiedy zniknęły, w świetle reflektorów ujrzała jakąś postać.

To był mężczyzna.

On.

Nie, nie On.

Ktoś inny.

Była bezpieczna.

Quincy przyspieszyła kroku. Zakrwawione ramiona same wyciągały się do przodu, jakby to mogło przybliżyć ją do nieznanego. Ruch sprawił, że bark dziewczyny przeszył ostry ból. Nie wypełnił luk w jej pamięci, lecz wraz z nim spłynęło zrozumienie. Myśl tak potworna, że musiała być prawdziwa.

Tylko ona ocalała.

Pozostali zginęli.

Quincy była jedyną, która przeżyła.

Gdy dzwoni Jeff, dłonie mam całe w słodkiej polewie. Pomimo moich wysiłków krem francuski dostał się na knykcie i w zagłębienia między palcami rąk, gdzie zasechł na mur. Tylko mały palec jest względnie czysty i to nim naciskam klawisz włączający głośnik w telefonie.

– Carpenter i Richards, prywatne biuro detektywistyczne – mówię, naśladowując zmysłową sekretarkę ze staroświeckich kryminalów. – Z kim mam połączyć?

Jeff gładko wchodzi w rolę; ton twardziela plasuje go gdzieś między Robertem Mitchumem* a Daną Andrewsem**:

– Daj no mi do aparatu pannę Carpenter, złotko. Muszę z nią porozmawiać, *pronto*.

– Panna Carpenter jest teraz bardzo zajęta. Coś jej przekazać?

– Tak – odpowiada Jeff. – Powiedz jej, że mój lot z Chi-Town*** się opóźni.

* Robert Charles Mitchum – amerykański aktor telewizyjny i filmowy, zasłynął z ról w filmach noir (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Carver Dana Andrews – amerykański aktor, gwiazda filmowa lat 40., najbardziej znany z roli w filmie *Najlepsze lata naszego życia*.

*** Slangowe określenie Chicago.

Natychmiast przestaję grać.

– Och, Jeff! Naprawdę?

– Przykro mi, skarbie. Kłopoty z wylotem z Wietrznego Miasta.

– Duże masz opóźnienie?

– Od dwóch godzin do „być-może-dotrę-do-domu-w-przyszłym-tygodniu” – oznajmia. – Jedyna korzyść, że dzięki temu ominie mnie początek sezonu wypieków.

– Chciałbyś, kolego.

– Nawiasem mówiąc, jak ci idzie?

Spoglądam na swoje dłonie.

– Opornie.

„Sezonem wypieków” Jeff nazywa wyczerpujący okres od początku października aż do końca grudnia, kiedy to jedne po drugich nieubłaganie nadciągają różnorakie święta, w nich zaś kluczową rolę odgrywają desery. Zwykle wymawia te słowa złowieszczym tonem, unosząc ręce do góry i przebierając palcami na podobieństwo pajęczych odnóży.

Jak na ironię to właśnie przez pająka ręce mam całe w kremie. Zrobiony jest z masy czekoladowej i tułowiem balansuje na krawędzi babeczki. Jego czarne nogi częściowo spoczywają na wierzchu ciastka, częściowo zwisają po bokach. Kiedy skończę, wszystkie babeczki zostaną odpowiednio wyeksponowane, sfotografowane, następnie zaś wystawione na mojej stronie internetowej w zakładce z pomysłami wypieków na Halloween. Tegoroczny temat przewodni to „Zemsta psychotek”.

– Jak wygląda sytuacja na lotnisku? – pytam.

– Ścisk, ale przeżyję, pod warunkiem, że zdołam się zakotwiczyć przy barze w hali odlotów.

– Zadzwoń, gdyby samolot miał się bardziej opóźnić – proszę. – Będę na ciebie czekała, cała w słodkiej polewie.

– W takim razie piecz jak szalona – rzuca Jeff.

Rozłącza się. Pora wracać do pająka ze słodkiej masy i przyozdobionej nim czekoladowo-wiśniowej babeczki. O ile

zrobiłam wszystko tak jak trzeba, po nadgryzieniu ze środka powinno wypłynąć czerwone nadzienie. Później przeprowadzę stosowną próbę, ale na razie interesuje mnie głównie to, co na zewnątrz.

Dekorowanie babeczek jest trudniejsze, niż się wydaje. Zwłaszcza jeżeli efekty mają być podziwiane przez rzesze internautów. Zacieki, smugi i kleksy są wykluczone. W świecie wysokiej rozdzielczości każda skaza jest natychmiast widoczna.

„Szczegóły mają znaczenie” – brzmi jedno z Dziesięciu Przykazań na mojej stronie, wciśnięte między artykuł zatytułowany *Miarki kuchenne twoimi najlepszymi przyjaciółmi* a *Nie bój się porażek*.

Kończę pierwszą babeczkę i biorę się za następną, gdy ponownie dzwoni komórka. Tym razem nie mam do dyspozycji ani jednego czystego palca, więc jestem zmuszona zignorować jej sygnał. Telefon nie przestaje wibrować i płaszać po kuchennym blacie. W końcu milknie i na moment nieruchomieje, by zaraz wydać z siebie znajome piknięcie.

Mam nową wiadomość.

Zaciekawiona odkładam rękaw cukierniczy, wycieram ręce i odczytuję SMS-a.

Jest od Coopa.

Musimy pogadać. W cztery oczy.

Moje palce nieruchomieją nad wyświetlaczem. Chociaż podróż samochodem na Manhattan zajmuje Coopowi aż trzy godziny, w przeszłości nieraz ją odbywał, ilekroć chodziło o coś ważnego.

Odpisuję mu:

Kiedy?

Po kilku sekundach przychodzi odpowiedź:

Zaraz. Tam, gdzie zwykle.

Ze strachu ściska mnie w dole kręgosłupa. Coop jest już na miejscu. A to może oznaczać tylko jedno – że coś się stało.

Przed wyjściem w pośpiechu dokonuję tradycyjnych przygotowań do spotkania z nim. Myję zęby. Nakładam błyszczyk. Łykam xanax i popijam niebieską tabletkę napojem winogronowym prosto z butelki.

W windzie dociera do mnie, że powinnam się przebrać. Wciąż mam na sobie swój strój roboczy: czarne dżinsy, starą koszulę Jeffa i czerwone pantofle na płaskim obcasie. Wszystko przyprószone mąką i noszące ślady zaschniętych barwników spożywczych. Na odwrocie dłoni dostrzegam resztki kremu czekoladowego; przez czarno-granatową masę prześwituje skóra. Wygląda to jak siniec. Zlizuję je.

Wychodzę na Osiemdziesiątą Drugą Ulicę i skręcam w Columbus, gdzie na chodnikach kłębią się przechodnie. Moje ciało spina się na widok tyłu obcych twarzy. Przystaję, by wsunąć zeszytniałą dłoń do torebki i znaleźć pojemnik gazu pieprzowego, z którym nigdy się nie rozstaję. W tłumie człowiek czuje się bezpieczniej, owszem, ale i znacznie mniej pewnie. Dopiero gdy pod palcami wyczuwam zasobnik z gazem, ruszam przed siebie z miną „zostawcie mnie wszyscy w spokoju”.

Chociaż świeci słońce, w powietrzu wyczuwa się chłód. To typowe dla początku października w Nowym Jorku; pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie, raz jest ciepło, raz zimno. Mimo wszystko jesień nadciąga wielkimi krokami. Gdy widzę przed sobą park Teodora Roosevelta, korony drzew oscylują między zielenią a złotem.

Nad nimi wznosi się tył gmachu Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej, tego ranka obleganego przez dzieci w wieku szkolnym. Ich głosy śmigają wśród gałęzi jak ptaki. Gdy jedno głośniej krzyknie, reszta milknie, dosłownie na sekundę. Ja także zamieram na chodniku, wytrącona

z równowagi nie przez krzyk, tylko przez ciszę, która po nim zapada. Zaraz jednak znowu rozlega się dziecięcy szczebiot, a ja oddycham z ulgą. Podejmuję przerwany marsz, kierując się do kawiarni oddalonej od muzeum o dwie przecznice na południe.

To nasze tradycyjne miejsce spotkań.

Coop czeka przy stoliku pod oknem. Wygląda tak samo jak zwykle. Ma ostre, kanciaste rysy twarzy, która w chwilach odprężenia przybiera melancholijny wyraz, jak teraz. Jego ciało jest zarazem długie i masywne. Ma ogromne dłonie; na palcu jednej zamiast obrączki tkwi studencki sygnet z rubinem. Jedyne, co się zmienia, to włosy, zawsze krótko przystrzyżone: przy każdym spotkaniu zauważam w nich coraz więcej siwych pasemek.

Jego obecność w kawiarni nie uchodzi uwagi niań oraz hipsterów na głodzie kofeinowym, których tutaj pełno. Nie ma to jak gliniarz w pełnym umundurowaniu, żeby wprowadzić wśród ludzi niepokój. Nawet bez munduru Coop może onieśmielać. To chłop jak dąb, istna góra mięśni. Wykrochmalona niebieska koszula i czarne spodnie w kant ostry niczym brzytwa sprawiają, że wydaje się jeszcze większy. Gdy wchodzi, podnosi głowę, a w jego oczach dostrzegam znużenie. Musiał przyjechać prosto z pracy.

Na stole przed nim zauważam dwa kubki. Herbata Earl Grey z mlekiem i dodatkowym cukrem dla mnie. Dla niego kawa – czarna, bez cukru.

– Quincy – mówi, skinąwszy mi głową na powitanie.

Zawsze to samo. Skinięcie głową to dla niego substytut uścisku dłoni. Nigdy się nie przytulamy, poza tamtym jednym incydentem w noc, kiedy się poznaliśmy, a ja rozpaczliwie się w niego wczepiłam. Ilekroć go widzę, tyle razy powraca tamto wspomnienie. Mój umysł odtwarza je niczym zapętłony film, dopóki się nie otrząsnę.

„Oni nie żyją – wyjąkałam, obejmując go z całej siły; słowa z bulgotem wydobywały mi się z gardła. – Wszyscy. A on nadal tam jest!”

Dziesięć sekund później uratował mi życie.

– To ci niespodzianka – mówię, siadając na krześle. Staram się zapanować nad drżeniem głosu. Nie wiem, dlaczego Coop chciał się spotkać, ale jeśli przywozi złe wiadomości, muszę je przyjąć ze spokojem.

– Dobrze wyglądasz – stwierdza, mierząc mnie szybkim, zatroskanym spojrzeniem, do którego zdążyłam przywyknąć. – Ale trochę schudłaś.

W jego głosie brzmi niepokój. Na pewno myśli o tamtym trudnym okresie, gdy pół roku po Pine Cottage apetyt całkiem mnie opuścił – do tego stopnia, że po raz kolejny wylądowałam w szpitalu i trzeba mnie było siłą karmić przez rurkę. Pamiętam, że obudziłam się i ujrzałam stojącego przy moim łóżku Coopa. Wpatrywał się w plastikowy przewód, którego końcówkę miałam wsuniętą do nosa.

„Nie zawieź mnie, Quincy – powiedział wtedy. – Nie po to przeżyłaś tamtą noc, żeby teraz umrzeć w taki sposób”.

– To nic – odpowiadam. – W końcu się nauczyłam, że nie muszę zjadać wszystkiego, co sama upiekę.

– Jak ci idzie? Z tym pieczeniem?

– Prawdę mówiąc, znakomicie. W ostatnim kwartale zyskałam pięć tysięcy followersów i następnego poważnego reklamodawcę.

– To świetnie – mówi Coop. – Cieszę się, że wszystko ci się układa. Któregoś dnia mogłabyś upiec coś dla mnie.

Obok skinienia głową to jeszcze jeden stały element naszych rozmów. Coop zawsze to powtarza, nigdy na serio.

– A co u Jeffersona? – zagaduje.

– W porządku. Biuro obrońcy Publicznego wyznaczyło go do poprowadzenia dużej, ważnej sprawy.

Przemilczam fakt, że chodzi o obronę człowieka oskarżonego o zabójstwo detektywa z wydziału narkotykowego, zastrzelonego podczas nieudanego nalotu. Coop ma już dostatecznie niskie mniemanie o zajęciu Jeffa; nie ma potrzeby dolewać oliwy do ognia.

- To dobrze - mówi.

- Od dwóch dni nie ma go w domu. Poleciał do Chicago zebrać zeznania członków rodziny oskarżonego. Liczy na to, że zmiękczy w ten sposób ławę przysięgłych.

- Hmm - mruczy z roztertowaniem Coop. - Zgaduję, że jeszcze ci się nie oświadczył.

Zaprzeczam ruchem głowy. Zwierzyłam mu się wcześniej, że Jeff na pewno poprosi mnie o rękę podczas naszego sierpniowego urlopu na Outer Banks, ale do tej pory nie dostałam pierścionka. To prawdziwy powód, dlaczego ostatnio schudłam. Jak wiele dziewczyn w podobnej sytuacji zaczęłam uprawiać jogging, żeby się zmieścić w hipotetyczną suknię ślubną.

- Wciąż czekam - mówię.

- Doczekasz się.

- A co u ciebie? - pytam pół żartem, pół serio. - Znalazłeś sobie wreszcie dziewczynę?

- Nie.

Unoszę do góry brew.

- To może chłopaka?

- Spotkaliśmy się, żeby rozmawiać o tobie, Quincy - oznajmia bez choćby cienia uśmiechu Coop.

- Jasne. Ty zadajesz pytania. Ja odpowiadam.

Tak to się zawsze odbywa, kiedy spotykamy się raz, dwa, czasem trzy razy do roku.

Najczęściej przypomina to sesje psychoterapii, podczas których nie mam okazji zadać Coopowi żadnych pytań. Znane mi są jedynie podstawowe fakty z jego życia. Ma czterdzieści

jeden lat, zanim został gliną, służył przez jakiś czas w piechocie morskiej i w zasadzie był jeszcze żółtodziobem, kiedy znalazł mnie na drodze, wrzeszczącą wniebogłosy. Wiem, że nadal patroluje ulice miasteczka, gdzie wydarzyły się te wszystkie potworności, ale nie mam pojęcia, czy jest szczęśliwy. Czy choćby zadowolony. Albo samotny. Nigdy nie dostaję od niego pocztówek z wakacji. Ani razu nie przysłał mi kartki na Boże Narodzenie. Przed dziewięciu laty, na pogrzebie mojego ojca, usiadł w ostatnim rzędzie i wymknął się z kościoła, zanim zdążyłam podziękować mu za przybycie. Najwięcej ciepła okazuje mi w rocznicę moich urodzin – zawsze dostaję wtedy od niego identyczny SMS o treści: „Oto kolejny rok, którego prawie nie doczekałaś. Przeżyj go”.

– Jeff w końcu pójdzie po rozum do głowy – dodaje teraz, kierując rozmowę na wybrane przez siebie tory. – Założę się, że oświadczy ci się w Boże Narodzenie. Faceci często tak robią.

Pociąga solidny łyk kawy. Ja popijam herbatę i mrugam, przytrzymując zamknięte powieki w nadziei, że ciemność pomoże mi odczuć zbawcze działanie xanaxu. Zamiast tego denerwuję się bardziej, niż kiedy tutaj weszłam.

Otwieram oczy i widzę wchodzącą do kawiarni dobrze ubraną kobietę z puciołowatym, równie dobrze ubranym berbeciem. To najprawdopodobniej opiekunka, jak większość kobiet przed trzydziestką w tej okolicy. W ciepłe, słoneczne dni wylegają na chodniki – istna parada dziewcząt zaraz po studiach, uzbrojonych w dyplomy z literatury i kredyty studenckie. Ich twarze wciąż się zmieniają. Zwracam na nią uwagę tylko dlatego, że jesteśmy do siebie podobne. Świeża, rumiana twarz. Jasne włosy związane w koński ogon. Nie za chuda i nie za pulchna. Owoc krzepkiej, karmionej mlekiem populacji Środkowego Zachodu.

W innym życiu to mogłabym być ja. W życiu bez Pine Cottage, krwi i sukienki zmieniającej kolory jak w jakimś kosmarze.

To jeszcze jedno, o czym myślę zawsze, ilekroć spotykam się z Coopem: sądził, że moja sukienka była czerwona. Wy-szeptał to do dyspozytora, kiedy zadzwonił po wsparcie. Jego słowa znalazły się w policyjnym zapisie tamtej rozmowy, który wielokrotnie czytałam, i na nagraniu, którego tylko raz zdołałam wysłuchać.

„Ktoś biegnie przez las. Biała kobieta. Młoda. W czerwonej sukience. Krzyczy”.

Rzeczywiście biegłam przez las. W zasadzie pędziłam. Spod moich stóp wzbijały się tumany liści, a ja byłam zbyt otepiała, aby czuć przeszywający ciało ból. I chociaż w moich uszach rozbrzmiewało wyłącznie bicie własnego serca, krzyczałam ile sił w płucach. Jedyna rzecz, co do której Coop się pomylił, to kolor sukienki. Jeszcze godzinę wcześniej była biała.

Część krwi była moja. Reszta pochodziła od innych. Głównie od Janelle, którą obejmowałam, zanim sama zostałam ranna.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Coopa, kiedy zrozumiał swoją pomyłkę. Tych rozszerzonych oczu. Tej kreski warg, gdy ze wszystkich sił starał się nie otworzyć ust do krzyku. I zdumionego westchnienia, jakie mu się wyrwało. Dwie miary szoku, jedna miara współczucia.

To jedna z niewielu rzeczy, które w ogóle pamiętam.

Moje przeżycia w Pine Cottage dzielą się na dwie odrębne części. Jest początek, pełen strachu i dezorientacji, gdy z lasu wypadła Janelle, jeszcze żywa, chociaż niewiele czasu już jej zostało. I jest koniec, kiedy Coop znalazł mnie w mojej czerwonej-niezerwonej sukience.

Pomiędzy jednym i drugim ziele pustka. Plus minus godzina całkowicie wymazana z mojej pamięci.

„Amnezja dysocjacyjna” brzmi oficjalna diagnoza. Lepiej znana pod nazwą syndromu wyparcia. Zasadniczo wydarzenia, jakich byłam świadkiem, okazały się zbyt potworne, aby mój kruchy umysł zdołał je udźwignąć. Usunęłam więc

koszmarne wspomnienia. Wykonałam coś w rodzaju lobotomii na własnym mózgu.

Co nie przeszkodziło innym domagać się ode mnie, abym sobie wszystko przypomniała. W tej grupie znaleźli się pełni dobrych intencji członkowie rodzin ofiar, błędnie pojmujący niesienie pomocy znajomi oraz psychiatrzy, którym marzyła się publikacja na temat mojego przypadku. „Postaraj się – powtarzali chórem. – Pomyśl o tym, co się tam stało”. Jakby to mogło coś zmienić. Jakby fakt, że przypomnę sobie każdy makabryczny szczegół, mógł przywrócić życie moim przyjaciołom.

Mimo to próbowałam. Terapii. Hipnozy. Nawet tej idiotycznej zabawy mającej pobudzić pamięć sensoryczną, podczas której terapeutka o kędzierzawych włosach, zasłoniwszy mi opaską oczy, przysuwała mi do twarzy perfumowane karteczki, pytając za każdym razem, jakie to we mnie budzi uczucia. Nic nie pomagało.

W moim umyśle ta jedna godzina przypomina wytartą do czysta szkolną tablicę. Nie pozostało nic poza kredowym pyłem.

Rozumiem tę potrzebę uzyskania nowych informacji, ten głód szczegółów. Ale sama wcale za nimi nie tęsknię. Wiem, co zaszło w Pine Cottage. Nie muszę pamiętać, *jak* to dokładnie przebiegło. Szczegóły mają to do siebie, że potrafią odwracać uwagę. Jeśli jest ich zbyt wiele, przesłaniają brutalną prawdę o danym wydarzeniu. Stają się krzykliwym naszyjnikiem, zakrywającym bliznę po tracheotomii.

Ja nie usiłuję zakrywać swoich blizn. Po prostu udaję, że nie istnieją.

To udawanie znajduje swój ciąg dalszy w kawiarni. Jakby wmawianie sobie, że Coop nie rzuci mi zaraz na głowę granatu złych nowin, jakoś mogło temu zapobiec.

– Przyjechałeś służbowo? – pytam. – Jeżeli zostajesz dłużej w mieście, Jeff i ja z przyjemnością zaprosimy cię na kolację.

Zdaje się, że wszystkim nam podobała się ta włoska knajpka, gdzie byliśmy w ubiegłym roku.

Coop spogląda na mnie sponad blatu stolika. Jego oczy mają najjaśniejszy odcień błękitu, jaki kiedykolwiek widziałam. Są nawet jaśniejsze od tabletki, która właśnie w tym momencie wchłania się do mojego centralnego układu nerwowego. Nie jest to jednak kojący błękit. Spojrzenie Coopa jest tak intensywne, że muszę odwracać wzrok, choćbym nawet chciała zajrzeć mu głębiej w oczy w nadziei, że uda mi się odczytać jego ukryte myśli. Dokładnie taki kolor, w ostrym odcieniu błękitu, powinny mieć oczy kogoś, kto ma za zadanie nas chronić.

– Chyba wiesz, dlaczego tu jestem – mówi.

– Nie wiem, naprawdę.

– Przynoszę złe wieści. Nie trafiły jeszcze do gazet, ale wkrótce to nastąpi. Szybciej, niż można by się spodziewać.

On.

Taka jest moja pierwsza myśl. To musi mieć jakiś związek z Nim. Chociaż widziałam, jak ginie, mój umysł błyskawicznie i nieubłaganie pogrąża się w nierealnym świecie, w którym On przeżył strzały Coopa, uciekł i latami się ukrywał, by teraz wyjść ze swojej pieczary z zamiarem odnalezienia mnie i dokończenia rozpoczętego dzieła.

On żyje.

Strach zalega mi w żołądku niby kula, ciężka, nie do ruszenia. Mam wrażenie, że uformował się tam guz wielkości piłki do koszykówki. Nagle okropnie chce mi się sikać.

– Nie o to chodzi – odzywa się Coop, bez trudu odgadując moje obawy. – Jego już nie ma, Quincy. Oboje dobrze o tym wiemy.

Chociaż miło jest słyszeć te słowa, w żaden sposób nie pomagają mi się rozluźnić. Dłonie mam zaciśnięte w pięści, nymknie wbijam w blat.

– Powiedz mi po prostu, co się stało. Proszę.

– Chodzi o Lisę Milner – mówi Coop.

- Co z nią?

- Nie żyje, Quincy.

Ta nowina wysysa z moich płuc całe powietrze. Chyba się dławię. Nie jestem pewna, bo wszystko zagłusza dobiegające z oddali echo głosu Lisy.

„Chcę ci pomóc, Quincy. Chcę cię nauczyć, jak być Ocalałą”.

Zgodziłam się i pozwoliłam, by mnie uczyła. W każdym razie przez pewien czas. Zakładałam, że zna się na tym lepiej ode mnie.

A teraz jej nie ma.

Zostałyśmy tylko my dwie.